

„Zośka”, „Rudy”, Justyna i Kamil oraz sondażowe procenty

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafrański

Znowu było głośniejsze o naszym polskim patriotyzmie. Jeden powód to niedawny Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, inny – sukcesy Kowalczyk, Stocha i Bródki na igrzyskach olimpijskich w Soczi. A niektórzy być może pamiętają także badania demoskopijne dziennika „Rzeczpospolita” właśnie na temat patriotyzmu.

Co z tego wynika? Bardzo wielkie pomieszanie, przede wszystkim. Pojęć, postaw, interpretacji. Jedno jest pewne: patriotyzm jest ciągle obecny w naszej świadomości. Spieramy się, jaki powinien być, w czym i kiedy się przejawiać. Szukamy go w różnych miejscach. Pamięć o Żołnierzach Wyklętych, mocniej i wyraźniej z każdym rokiem eksponowana i publicznie czczona, pokazuje, że walka o wolność, powojenna walka z komunizmem, również ofiary stalinowskiego terroru znajdują miejsce w polskiej pamięci zbiorowej. Tworzą podstawy współczesnej świadomości zbiorowej. Liczne grupy młodzieży, nie tylko kibice piłkarscy, lecz także uczniowie i studenci, widzą w Żołnierzach Wyklętych, ich wyborach i postawach, wzory dla siebie. Kiedy rok temu obejrzałem film dokumentalny *Kwatera „L”* Arkadiusza Gotębiewskiego, największe wrażenie zrobiły na mnie młode dziewczyny, uczestniczki prac ekshumacyjnych na Powązkach. W bardzo

współczesny sposób, dzisiejszym językiem opowiadały o ludziach, których teraz przyszło im poszukiwać, odkopywać i identyfikować. W tym strasznym zajęciu potrafiły znaleźć coś optymistycznego. Zachowując proporcje, były jak „Zośka”, „Rudy” i „Alek”, którzy w najczarniejszych czasach pamiętali o przyjaźni, dziewczynach, wierszach. Czy też – jak młodziutki Marek Edelman, pragnący miłości w getcie.

Patriotyzmu szukaliśmy też w innym miejscu, w Soczi na igrzyskach olimpijskich. Chętnie braliśmy na siebie zwycięstwa Justyny Kowalczyk, Kamila Stocha i Zbigniewa Bródki. Wygrywali nie oni lub nie tylko oni. – Mamy złoty medal! – wołali sprawozdawcy, mówili komentatorzy, politycy od prawa do lewa, ludzie w autobusach. Wygrywała Polska, my wszyscy. My wszyscy stawaliśmy się lepsi, więksi. Odwoływaliśmy się nie tylko do talentów, ciężkich treningów, poświęcenia. Wielu z nas bliższe było poczucie wspólnoty, więzy krwi.

Spore poruszenie wywołało badanie opinii publicznej przeprowadzone niedawno przez dziennik „Rzeczpospolita” właśnie na temat patriotyzmu. Wyniki wielu oburzyły i zasmuciły. Myślę, że nie do końca słusznie. Co pokazał sondaż? Że 40 proc. dorosłych Polaków nie jest dziś gotowych czegokolwiek poświęcić dla Polski. Zdrowie lub życie gotów jest oddać tylko co piąty z nas, a poświęcić szczęście osobiste – mniej niż co dziesiąty. To bardzo mało – mówili niektó-

rzy. Brakuje nam idealów, państwo jest w kryzysie i nie budzi zaufania – dodawali. Jest w tym zapewne sporo prawdy, ale chyba nie cała. Dla mojego pokolenia magiczna pozostaje liczba dziesięciu milionów członków Solidarności. Tyłu nas było w ciągu szesnastu miesięcy legalnej działalności związku przed stanem wojennym. Mieliśmy być siłą, której nic nie ruszy. Łączył nas – mówiono – patriotyzm. Czy kiedy po trzynastym grudnia wielu – ba! ogromna większość – na długie lata zamknęło się w domach, znaczyło to, że zatracili swój patriotyzm? Nigdy bym takiej odpowiedzi nie udzielił. Chciałbym tylko, żebyśmy z większą ostrożnością odwoływali się do patriotyzmu. Z większą odpowiedzialnością i po głębszym przemyśleniu.

Pamiętam, gdy jako bardzo młody chłopiec, ale już coś rozumiejący, poszedłem do szewca oddać do podzeleniania buty. Wstrząsnął mną wiszący na ścianie dyplom mistrzowski z roku 1942. – Jak to – myślałem – jest wojna, okupacja, łapanki, getto – a ktoś zajmował się butami?! Po latach, na studiach, przegła-

dałem w bibliotece wychodzące w czasie okupacji po polsku gazety. Gadzinówki. Uwagę moją zwróciły dziesiątki, jeśli nie więcej ogłoszeń drobnych. Było w nich, to jasne, świadectwo okupacji, biedy, wyprzedawania wszystkiego za grosze, by przeżyć, może wysłać paczkę do obozu, może dać łapówkę Niemcowi. Ale było też coś więcej: świadectwo toczącego się mimo wszystko życia. Kilka lat później, w 2003 roku, gdy mój starszy bliski kolega obchodził sześćdziesiątą rocznicę ślubu rodziców w kościele Świętego Krzyża w Warszawie i opowiadał o jadącym do rózkami orszaku ślubnym, do głowy mi nie przyszło, by źle o nich pomyśleć. Patrząc z tej perspektywy, procenty przedstawione w badaniach „Rzeczpospolitej” wyglądają już inaczej.

Dla mnie pretekstem do myślenia w marcu o patriotyzmie na zawsze pozostał marzec 1968 roku. Patriotyzm był wówczas odmienny

przez wszystkie przypadki, od rana do wieczora. Niestety, w najgorszym nacjonalistycznym i ksenofobicznym kontekście. I niestety – w tej antysemickiej formie – ciepło przyjęty przez znaczną część społeczeństwa. Było to jedno z nielicznych, jeśli nie jedyne porozumienie, jakie komuniści zawarli ze społeczeństwem. Jak dziś chcielibyśmy patrzeć na marcowy patriotyzm? Czy to w ogóle był patriotyzm?

Za dużo patriotyzmu, za dużo martyrologii – słyzy się czasem z różnych stron. Pomijając to, że patriotyzm i martyrologia to zgoła nie to samo, można odpowiedzieć, że nie da się polskiej historii opowiedzieć bez martyrologii. A bez patriotyzmu nie ma wspólnoty. Tyle że trzeba być z nim i odwoływaniem się do niego bardzo ostrożnym. Nie szafować ponad miarę i zbyt często. Nie wierzyć też ani w wielkie liczby, ani składane deklaracje. Jedne i drugie dają mylony obraz. ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

